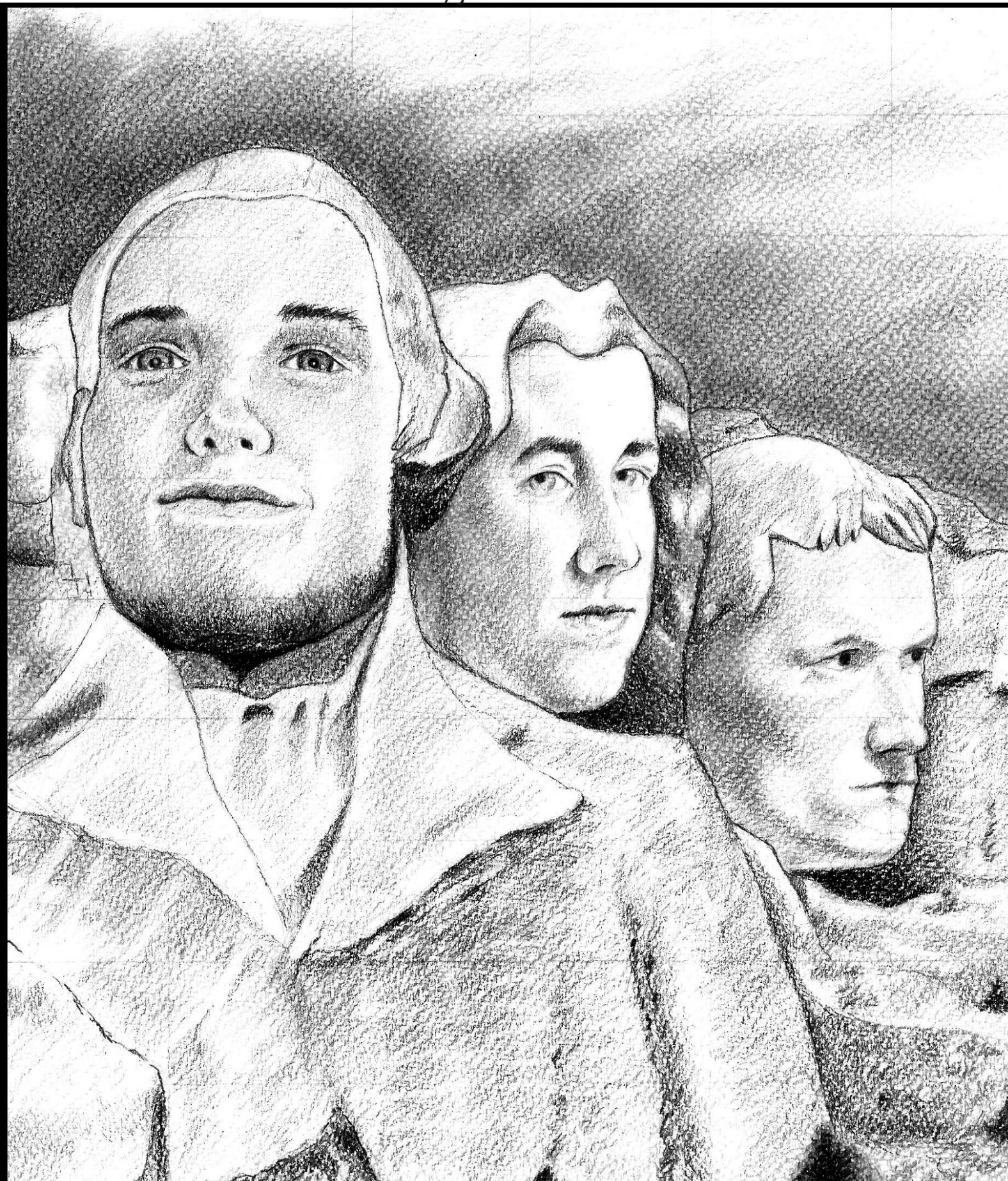


MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
4 LATA PRACY, JEDEN DZIEŃ CHWAŁY



MARGINES W INTERNECIE:

[f](https://www.facebook.com/ZSLKRAKOW) FACEBOOK.COM/ZSLKRAKOW

MARGINES.TL.KRAKOW.PL

WSTĘPNIAK

Łukasz Ożóg

Wreszcie ładniej, cieplej. Już środek kwietnia, najwyższy czas. Możecie teraz delektować się lekturą „Marginesu” w blasku długo wyczekiwanego słońca. A zresztą, czytajcie go, jak chcecie, byle nie wrzucać go do kosza. Jest to numer szczególny, nie taki jak wszystkie pozostałe. Zajrzyjcie trzy strony dalej, już się o tym przekonacie. Kastel, w swoim wzruszającym tekście, opowie Wam trochę o „Marginesie”, od podstaw i od momentu, w którym do niego dołączył, aż do teraz. Hubcio też trochę podpiął się pod temat – tutaj odczucia na temat pracy w naszej gazecie, jak to zgrabnie nazwał „Rachunek sumienia”. Z trochę innej strony, możecie się dowiedzieć co nieco o tym, jak wyglądały Targi Edukacyjne. Poczytajcie też trochę o naszych szkolnych laureatach – osiągnęli naprawdę wiele, może warto się na nich wzorować albo chociaż zyskać dzięki nim pozytywne nastawienie do nauki. A skoro mobilizacja już jest, przyda się mała pomoc – odsyłam do tekstu Damiana, udzielił wiele naprawdę przydatnych porad. Jak będziecie mieli dość wkuwania i ćwiczenia neuronów, polecam lekturę relacji z wyprawy Tomka do Indii, można się odprężyć i przenieść na chwilę do innej kultury. Szczególną rzeczą w kwietniowym numerze jest też wywiad z Dyrektorem Naczelnym, mgr. Antonim Borgoszem, w którym członkowie Koła Promocji Szkoły poruszyli najciekawsze kwestie dotyczące historii ZSŁ i życia zawodowego Dyrektora. Bardzo dużo wątków sentymentalnych, naprawdę. Już nawet czytając o grach komputerowych, łąza się kręci w oku... Ja się czuję obco... Nic sentymentalnego, napisałem tylko o tym, jak będzie wyglądała Wasza przygoda z informatyką, jeśli świadomość u ludzi nie wzrośnie (no, chyba, że nie lubicie się uczyć matmy i wolicie siedzieć na plantach albo zajmować się metalami kolorowymi w Afryce).

I już na koniec, Redakcjo „Marginesu” z pewnej klasy maturalnej – szacun. Naprawdę, szacun, za dobre teksty, świetną organizację, sprawne rozwiązywanie problemów i zostawienie po sobie „Marginesu” w takim stanie, jak jest teraz.

Co w numerze?

Wywiad z dyr. Antoni Borgoszem	s. 3
Exegi Monumentum	s. 4
Festiwal Małych Form sztuki i przegląd...	s. 5
Rachunek sumienia	s. 6
Dobre serce informatyka	s. 6
Festiwal zawodów	s. 7
Andrzej w Tv - part 2	s. 7
Cudowna moc mnemotechnik	s. 8
Podróż i pierwsze zetknięcie się z indyjskimi...	s. 9
Sława, fejm i nie tylko	s. 11
Cytrynowo mi	s. 11
Gramy!	s. 12
Recenzja muzyczna	s. 12

	uzem, bez nadzoru	amerykański stan ze stolicą w Montgom	Monroe, aktorka	zespół z A. Chylińską	w nich mierzona objętość	między Plastic a Band	kicz
prowadzony przez piłota	▼	▼	▼	▼	▼	▼	▼
prosty aminokwas endogen							
najdłuższy z błęgów							
tradycyjny pas japoński							
daktylowanie							
... Lee, wokalistka Evanescence							
Carlos, gitarzysta							

Gazeta Szkolna ZSŁ

Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Anna Oleś
Łukasz Ożóg
Damian Hanusiak
Paweł Górszczak
Renata Makuch
Anna Karez
Tomek Nowinski
Maciek Pietrzyk
Artur Kawala
storyteller
Mateusz Bogusz
Bartosz Jędrecki
Aneta Sacha



Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz
e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES
Gazeta Szkolna

Wywiad z dyr. Antoni Borgoszem

Zespół koła promocji szkoły

Zapraszamy serdecznie na wywiad z dyrektorem Zespołu Szkół Łączności - Panem mgr. Antonim Borgoszem.

– Dzień dobry, Panie Dyrektorze. Ubiegły rok szkolny obfitował w nagrody wyróżnienia dla naszej szkoły. Przypomnijmy: 1 miejsce w rankingu maturalnym oraz 2 miejsce w ogólnopolskim rankingu „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej”, nagroda jakości nauczania Sapere Auso, dla najlepszej szkoły średniej.

– Jak Pan się czuje jako dyrektor najlepszego technikum w Małopolsce i jednego z najlepszych w Polsce odnoszącego tak duże sukcesy?

– Technikum łączności zawsze należało do grupy najlepszych szkół technicznych. Mam satysfakcję, że tę dobrą opinię udało mi się utrzymać. Wysokie wyniki nauczania, niepowtarzalny klimat to zasługa znakomitej kadry nauczycielskiej – kadry, która uczy odwagi w myśleniu, kreatywności oraz kształtuje umiejętności zawodowe oczekiwane przez pracodawców.

– Zawsze można coś zmienić, ulepszyć. Jeżeli mógłby Pan poprawić tylko jedną rzecz w funkcjonowaniu szkoły, to co by to było?

– Odpowiedzi nie da się sprowadzić tylko do jednej rzeczy. Jest jeszcze wiele problemów, które powinny być rozwiązane. Marzę o lepszych wynikach egzaminów zawodowych. Baza dydaktyczna w zakresie kształcenia zawodowego powinna być bardziej nowoczesna. I wreszcie najwyższy czas, aby wprowadzić dziennik elektroniczny.

– 45 lat temu rozpoczął Pan pracę w tej szkole - dlaczego Pański wybór padł na ZSŁ?

– W 1966 r. ukończyłem studia. 1 października 1966 r. rozpocząłem pracę jako asystent w Katedrze Logiki Uniwersytetu Jagiellońskiego. To była fantastyczna przygoda z nauką. Wspaniali ludzie, wspaniała atmosfera pracy. Za pracę otrzymywałem 1000 zł, a za wynajęty pokój płaciłem 500 zł. Warunki materialne zmusiły mnie do szukania innych rozwiązań. Przypadkowo dowiedziałem się, że Technikum Łączności ogłosiło konkurs na stanowisko nauczyciela matematyki. Poinformowałem o zamiarze zmiany pracy mojego szefa prof. Kazimierza Pasenkiewicza – wspaniałego naukowca. Zasmucił się. Powiedział: „To najlepsza szkoła techniczna w Krakowie. Proszę dokonać mądrego wyboru”. Zgłosiłem się do konkursu. I udało się wygrać. Tak zaczęła się moja 45-letnia przygoda z Technikum Łączności.

– Czy pamięta Pan swoje pierwsze lekcje tutaj? Czy były to, tak jak obecnie - zajęcia z matematyki?

– To była totalna porażka. Pamiętam lekcję w klasie czwartej. Temat: „Całka oznaczona”. W połowie lekcji jeden z uczniów wstał i powiedział: „Pożartowaliśmy. A teraz proszę to tak wytłumaczyć, aby można było zrozumieć”. Nie obraziłem się. Zrozumiałem, że metod akademickich na poziomie szkoły średniej nie można stosować. Później było już znacznie lepiej.

– Praca pedagoga nie opiera się tylko na nauczaniu ale także na kształtowaniu osobowości młodych ludzi. Pamięta Pan swoją pierwszą klasę wychowanków? Jak układała się współpraca? Czy od tamtej pory zmienił się Pana pogląd na temat pracy nauczyciela i wychowawcy?

– Przypominam sobie pierwsze spotkanie z panem dyrektorem Tadeuszem Majewskim. Spojrzał na mnie i powiedział: „Młody człowieku, daję ci wychowawstwo w klasie trzeciej telekomunikacyjnej. Jeżeli wytrzymasz z nimi do końca roku, to będziesz mógł pracować w tej szkole. Nadmieniam, że jesteś drugą osobą, która podejmuje próbę opanowania tego niesformego zespołu”. Było ciężko. Udało się. Wspólne wypadki w Tatry oraz Beskidy, ogniska - to wszystko połączyło nas. Młodzi wpadli na pomysł, aby utworzyć klasową grupę turystyczną o nazwie „Zdobycze łona...”. Co najmniej raz w miesiącu wyjeżdżaliśmy poza Kraków. W klasie piątej był to najlepszy oddział w szkole. Miło ich wspominam. Pierwszy sukces? Myślę, że tak. O tym zdecydowało kilka rzeczy. Znałem ich możliwości intelektualne, warunki domowe oraz wiedziałem, że do dialogu potrzebne są: uszy i usta. Trzeba umieć słuchać i wykaazać się mądrością i taktem w komentowaniu.

– Po 13 latach pracy jako nauczyciel matematyki awansował Pan do funkcji wicedyrektora. Następnie po 9 latach wygrał Pan konkurs na stanowisko dyrektora naczelnego, a od 22 lat piastuje ten urząd. Czy spodziewał się Pan takiego przebiegu swojej kariery zawodowej?

– Pierwszego września 1990 r. mój syn rozpoczął naukę w V Liceum, a ja rozpocząłem pracę na stanowisku dyrektora w ZSŁ. O godz. 7 obaj wychodziliśmy do różnych szkół. Moja żona, żegnając nas, postawiła pytanie: „Ciekawa jestem, który z was skończy wcześniej?”. Wtedy mój głos wewnętrzny powiedział mi: „Będziesz lepszy”. Nie przypuszczałem, że ta przygoda tak długo będzie trwała.

– Początek którego etapu uważa Pan za najtrudniejszy i dlaczego: nauczyciela, wicedyrektora czy dyrektora?

– Moje życie zawodowe składało się z kilku etapów. Praca w katedrze Logiki UJ

(1966 - 1968). Nauczyciel matematyki i fizyki w ZSŁ (1967 - 1974). Wizytator metody w Małopolskim Kuratorium (1974 - 1979). Starszy wykładowca w Instytucie Pedagogiki UJ (1979 - 1981). Wicedyrektor ZSŁ (1981 - 1990). Dyrektor ZSŁ od 1990 r.

Japończycy mówią, że pierwsze 30 lat pracy zawodowej to pestka. Później zaczyna się schody. W moim przypadku początek każdego z tych etapów był trudny. Może dlatego, że zawsze kierowałem się dewizą: „Jeżeli cokolwiek robisz, rób tak, abyś wiedział, że lepiej nie potrafisz.”

– Zarządzanie Zespołem Szkół jest zadaniem trudnym i odpowiedzialnym. Czy miał Pan wrażenie, że zawsze może liczyć na wsparcie współpracowników, rodziny a może były sytuacje gdy wiedział Pan, że jest zdany wyłącznie na siebie?

– W tej szkole pracuje tu wielu wspaniałych pedagogów. Mamy dobrą młodzież. W kierowaniu szkołą było kilka trudnych okresów. Trzeba było dla dobra ZSŁ podejmować mało popularne decyzje. Jednak zawsze mogłem liczyć na życzliwość przeważającej części grona. Wdzięczny jestem ściślemu kierownictwu szkoły za niezwykłą odpowiedzialność zawodową i dobrą pracę na rzecz szkoły. Dziękuję mojej Żonie, która wspierała mnie w trudnych chwilach, służyła radą.

– 45 lat to ogrom czasu - jakie osoby, wydarzenia najbardziej utkwiły w Pana pamięci z tego okresu?

– Osoby? Mój Boże, było ich dużo. Los mi sprzyjał. Dzięki wspaniałemu profesorowi UJ Stanisławowi Surmie pozostałem w Krakowie. Profesor pomógł mi rozwiązać kilka trudnych życiowych problemów. Moim mistrzem w zakresie dydaktyki matematyki była profesor Zofia Krygowska. Duży wpływ na moje postawy wobec życia miał ks. profesor Józef Tischner. A spośród szkolnych osobowości miło wspominam Tadeusza Majewskiego – dyrektora szkoły. To on przyjmował mnie do pracy. To dzięki Jego osobowości, ogromnej życzliwości oraz umiejętności dostrzegania w każdym człowieku pozytywów związałem się z tą szkołą. Człowiekiem, który mnie onieśmielał swoją wiedzą, elegancją, taktem i kulturą był polonista, Władysław Kamienobrodzki. Niezwykle barwną i popularną postacią był germanista Janusz Korosadowicz – założyciel szkolnego oddziału PTTK. Swoje zamięłowanie do turystyki i sportu przekazywał kilku pokoleniom młodzieży. Jego rada: „Jeśli chcesz dowiedzieć się, czy twoja dziewczyna będzie dobrą życiową partnerką, to weź ją na kilkudniową trudną wycieczkę.” Mądrością, wiedzą i życzliwością zaskakiwał mnie Eugeniusz Rutkowski, nauczyciel przedmiotów zawodowych. I tak mógłbym jeszcze dużo wymieniać osoby, które miały ogromny wpływ na moje życie, od których uczyłem się wrażliwości na sprawy drugiego człowieka oraz, że są wartości, bez których życie ludzkie jest puste.

– A wydarzenia, które najbardziej utkwiły mi w pamięci?

– Było ich wiele – radosnych i smutnych. Jednego nie zapomnę. To było w maju 1974 r. Brałem udział w wycieczce szkolnej. Dwóch młodzieńców bez pozwolenia wyjechało z obozu motocyklem o godz. 22. Doszło do wypadku. Jeden z chłopców zginął. Był jedynakiem wychowywanym przez samotną matkę. Mnie przypała obowiązek poinformować matkę, że jej jedyny syn nie żyje. Ból i rozpacz tej matki do tej pory śnią mi się po nocach.

– Jak Pan wyobraża sobie „Łączność” za 10 lat?

– Za 12 lat ZSŁ będzie obchodził 80 urodziny. Rzeczą całkiem prawdopodobną jest, że podczas jubileuszowej uroczystości dyrektor naczelny ZSŁ, witając zaproszonych gości, powie: „Miło mi powitać Ministra Edukacji Narodowej, którym jest nasz absolwent. Witam Jego Ekszelencję Biskupa pomocniczego krakowskiej kurii – również naszego absolwenta. Wdzięczny jestem Jego Magnificencji Rektorowi AGH za przyjęcie zaproszenia. Nadmieniam, że Pan Rektor ukończył Technikum Łączności.”

A w dalszej części wystąpienia dyrektor podkreśli, że od 10 lat Technikum Łączności w ogólnopolskich rankingach jest na pierwszym miejscu.

– Czy przy tak wielu obowiązkach znajduje Pan czas na uprawianie jakiegos sportu, wyjście do teatru, kina, filharmonii, czytanie książek? Czy ma Pan jakieś hobby?

– W czasie studiów – a później również – uprawiałem turystykę. Miejsca, do których obecnie wracam wspomnieniami to Tatry oraz Pojezierze Mazurskie. Wędrówki szlakami w Tatrach, pływanie kajakiem po jeziorach mazurskich, wędkowanie, wieczorne ogniska – to wszystko co tak miło i ciepło wspominam. Obecnie brak czasu nie pozwala na realizację wielu wspaniałych rzeczy. Ale przynajmniej raz w tygodniu gram w brydża. Lubię czytać. Fascynuje mnie twórczość nieżyjącego już ks. Józefa Tischnera. Przeczytałem kilka wspomnieniowych książek Władysława Bartoszewskiego. Ostatnio czytam „Filozofię przypadku” autorstwa Michała Hellera – teologa, filozofa i zarazem kosmologa. Zachęcam każdego do przeczytania tej książki, w której można znaleźć wyjaśnienie wielu kwestii nurtujących każdego człowieka.

– Czy ma Pan ulubioną sentencję, złotą myśl, którą chciałby się Pan podzielić z uczniami ZSŁ?

Jest ich wiele, ale dwie są mi szczególnie bliskie:

„Idź przez życie tak, aby ślady twoich stóp przetrwały cię” – J. Chrapek.

„Lepiej z odwagi pobiłdź, niż z tchórzostwa stać w miejscu” – J. Tischner.

Dziękujemy bardzo za poświęcony czas.

Zespół Koła Promocji Szkoły w składzie - Marek Mrówka, Joanna Topa, Rafał Gosiewski

Exegi Monumentum

red. nacz. kastel

NAJPRAWDOPODOBNIJ TO MÓJ OSTATNI TEKST NA ŁAMACH TEGO PISMA. NAJPRAWDOPODOBNIJ. TO COŚ W RODZAJU OSTATNIEGO LISTU, TESTAMENTU LUB NEKROLOGU. NIEPOTRZEBNE SKREŚLIĆ.

Cztery lata minęły. Cztery lata temu dołączyłem do składu (wtedy) kwartalnika „Marginesu” (wołającego o miłosierdzie i pomstę do nieba), gdzie zacząłem pisać pierwsze recenzje filmowe. Potem, gdy ówczesny redaktor naczelny – Piotr Jeziorek – stał się absolwentem ZSŁ i ja przejąłem pałeczkę głównodowodzącego, nie sądziłem, że uda się stworzyć pismo, które jest rozpoznawalne i cieszy się opiniotwórczą renomą. Zdaję sobie sprawę, że to są pompacyjne i sztuczne słowa wypowiedziane przez właściwie wszystkich gwiazdorów, artystów czy też twórców - ale tak właśnie zazwyczaj jest. Pracuje się nad czymś, wkłada się w to serce, a potem patrzy się wstecz i mówi: „Nie sądziłem, że dojdę tak daleko”. Jak podejrzewacie, w tym tekście nie przeczytacie nic nowego. Nic, co nie zostałoby powiedziane wcześniej. Dołączę tylko do grona pozostałych ludzi, którzy mogą powiedzieć to zdanie pełne przyjemnego zadowolenia oraz sukcesu.

Aha, a propos sukcesu - jeżeli jesteś nowym członkiem rodziny ZSŁ (tj. uczeń pierwszej klasy), zachęcam Cię do dołączenia do „Marginesu”. Jest to z pewnością sposób na łatwiejszy start w szkole, redaktorzy „Marginesu” cieszą się pewnymi przywilejami (żeby nie powiedzieć: „są ponad prawem”) i oczywiście jest, że mają lepsze oceny z polskiego. Przy własnym, nawet minimalnym wkładzie pracy możesz tu tylko zyskać. Nie jest to tekst propagandowy. Serio tak jest – przyjdź do polonistycznego i zapytaj. Jeżeli nie chcesz, to nikt Cię nie namawia – redakcja sobie bez Ciebie też poradzi. Ale wracając już do tematu...

Nieskromnie (nawet z nieukrywana pychą) stwierdzam – głównie dzięki mojej pracy udało się wypromować to pismo i właściwie stworzyć markę, z którą uczniowie najlepszej szkoły w kraju się utożsamiają, znają oraz lubią. Z początku zaczęło się od zmiany okładki, na moim zdaniem bardziej przyjaznej wizualnie i przypominającej profesjonalne prasowe wydawnictwa. Kolejnym krokiem była oczywiście zmiana we-



wewnętrznego układu z jedno- na kilku kolumnowy. Kiedy zachodziły generalne zmiany, w redakcji było nas czworo. Może pięcioro. Potem prof. Bogusz w swoich klasach pozycygał wybitne talenty takie jak Łukasz, Paweł czy Damian i aktualnie w redakcji takim oto sposobem pisze 16 osób. Ostatnim wydarzeniem, które mocno wpłynęło na gazetę, był konkurs związany z Euro 2012. Zaprojektowałem wtedy szablon gazety, na którym „Margines” jest łamany do dnia dzisiejszego. Aktualnie teraz tylko trwają prace nad pokonywaniem samych siebie i ciągłym ulepszaniu merytorycznych wartości literackich – chociaż jestem pewien, że mój imiennik Paweł wymyśli coś świeżego, co przebijie wszystko zrobione do tej pory.

W redakcji przeżyłem wiele przygód – lepszych, gorszych czy ciekawszych, momentów, zdobyłem ogromne doświadczenie z zakresu pisanego, zarządzania zasobami ludzkimi czy też umiejętność najprostszego nawiązywania kontaktów międzyludzkich – a z pewnością poznałem tu kilkoro wartościowych ludzi. Teraz przychodzi pora na rozstanie.

Chciałbym podziękować mojej wychowawczyni – mgr Halinie Flis-Paciorek za fakt, że właściwie pierwszego dnia, w pierwszej klasie (2009) po spotkaniu „integracyjno-zapoznawczym” zaciągnęła mnie do gabinetu polonistycznego i pokazała poloniście p. Bogusławowi Boguszowi, któremu też chcę podziękować za cierpliwość oraz wyrozumiałość okazaną mojej narcystycznej,

upartej oraz w gruncie rzeczy prostej (czasem nawet zbyt prostej) osobie. Myślę też, że w tym momencie wypada też podziękować mgr Ewie Piskowskiej za wskazanie mi kilku talentów pisarskich w najlepszej klasie w ZSŁ (a.k.a. 4iB) oraz za to, że te oceny z polskiego były tak wysokie jak być powinny (ps. trzymam kciuki za tę najważniejszą, ostatnią ocenę na koniec ;)). No i oczywiście tym talentom też należą się podziękowania – Wojtkowi Gajdzie za bycie taką naszą prasową gwiazdą, zawsze mającą celne spostrzeżenia i uwagi przekładające się na najlepsze (oraz nagradzane!) artykuły czy felietony. Mojemu bliskiemu przyjacielowi, Hubertowi Pięcie, za stworzenie postaci Andrzeja, genialne poczucie humoru, wsparcie i dobre słowo w każdej trudniejszej chwili czy też Annie Oleś za długi staż i pierwiastek kobiecy urozmaicający życie redakcyjne. Tak, więc gazeta to nie tylko i wyłącznie mój twór (bez ujmowania swych zasług), ale to praca sztabu ludzi pełnych pasji i zamiłowania do dziennikarstwa oraz pisanego tekstów. Chwała im za to, że znaleźli się wśród tylu ludzi oraz stanęli nad całą masą uczniów najlepszej szkoły w całym kraju gotowi wypowiedzieć na głos swoje zdanie na łamach miesięcznika ZSŁ. Trzymam za Was mocno zaciśnięte kciuki.

Będę schodził już z piedestału redaktora naczelnego, usuwał się w cień i oddawał z ciężkim sercem swoje dziecko, jakim jest „Margines”, w ręce Łukasza Ożog – chłopie, nie zepsuj tego, bo Cię znajdę i...

Festiwal Małych Form Sztuki i przegląd muzyczny w ZSŁ

Renata Makuch

JEDNO Z NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ ZSŁ. W SKRÓCIE DLA TYCH, KTÓRYCH NIE BYŁO.

Po dwuletniej przerwie znów odbył się Festiwal Małych Form Sztuki połączony z przeglądem muzycznym. Miał on miejsce w piątek (12.04) w sali teatralnej Towarzystwa św. Franciszka Salezego. Wszystko rozpoczęło się punktualnie o 9, ale organizatorzy i występujący byli tam dużo wcześniej, dopinając wszystko na ostatni guzik. Całą imprezę prowadziła trójka uczniów: Klaudia, Grzesiek i Łukasz, a w jury zasiadli: p. Agnieszka Osuch-Czepiel, p. Agnieszka Kozłowska oraz przedstawiciel części uczniowskiej - Rafał.

Imprezę rozpoczęto od występów teatralnych. Na pierwszy ogień poszła klasa 1 lb z przedstawieniem pt. „Dziki szaman”. Co do tego występu, należy wspomnieć i pochwalić odtwórcę roli Szamana, który swoim strojem i świetną grą aktorską wyróżniał się na tle swojej klasy. Następnie na scenie pojawiła się klasa 1 la z „Wielkim napadem”. Ciekawy scenariusz, teksty nawiązujące do ZSŁ i strój Indianina były dużym plusem tego występu. Publiczność bardzo ożywiła się, gdy Dominik, który wcielił się w rolę dyr. Piskowskiego, złapał innego aktora, pytając czy buciki są przebrane. Później na scenie pojawiła się klasa 2 Eb. To był prawdziwy western w ich wykonaniu. Michał, przebrany za kobietę, czuł się bardzo swobodnie na scenie. Ich występ uświetniła piosenka ich własnego autorstwa w wykonaniu Michała oraz Łukasza, a towarzyszył im Wojtek. Występ tej klasy był jednym z najlepszych występów całego dnia. Na sam koniec ich programu artystycznego jury zostało porwane do tańca w rytm piosenki. Szał zabawy ogarnął wszystkich. Później publiczność oglądała „Nerd Fight - czyli krótka opowieść w trzech aktach”, był to jedyny filmik w kategorii artystycznej. W nagrodę za niego klasa otrzymała fajkę pokoju. Następnie na scenie pojawiła się klasa 1 Ec prosto z plemienia Tatamajaja. Oryginalny scenariusz oraz indiańskie wesele bardzo rozbawiło całą publiczność. Ciekawy był również występ klasy 1 Tb, która zaprezentowała piosenkę w stylu country. Końcówka rodem z Projektu X. Klasa 1 Ee również bardzo dobrze się zaprezentowała, pokazując skecz z przykuwającym uwagę kowbojem, który jeszcze bardziej rozruszał widownię. Warto wspomnieć o Dominiku z klasy 1 lb, który każdy występ udoskonalał swoim śmiechem mocno oddziaływującym na całą publiczność. Po pierwszej części udało mi się zamienić parę słów z p. Piskowskim. A oto, co mi powiedział: Jest tutaj bardzo sympatyczna atmosfera, nie spodziewałem się takich talentów w szkole technicznej. Dużo pomysłów, znajomość tematyki, spontaniczne reakcje publiczności. Jest naprawdę fajnie. Każda klasa ma dużo zacięcia artystycznego. Na szczególne wyróżnienie zasłużył Szaman z klasy 1 lb oraz Michał z 2 Eb, który wcielił się w rolę kobiety.

Po krótkiej przerwie na przepinanie sprzętu, rozpoczęła się II część – muzyczna. Na scenie zaprezentowało się siedem zespołów. Na pierwszy ogień



poszli reprezentanci klasy 1 Id, zespół Powidła z Maćkiem Majem na czele, który jak zawsze czarował głosem. Moją uwagę głównie zwróciła dwójka artystów: BB_Hunter oraz Wojtek z klasy 3 Eb i dwa zespoły: Soundmotion oraz Envy Kills. BB_Hunter zachwycił mnie swoim beatboxem i tekstem utworu, a Wojtek był człowiekiem orkiestrą, gdyż podczas swojego występu grał na klawiszach, gitarze, a w pewnym momencie, nie wiadomo skąd, wyciągnął flet i zaczął na nim grać. Komentując występy zespołów można powiedzieć, że oba były bardzo pozytywnie przyjęte przez publiczność. W Soundmotion grającym własną muzykę wyróżnia się genialny wokalista i Rafał, który bardzo swobodnie czuł się na scenie wraz ze swoją gitarą basową, natomiast Envy Kills zaskoczyło wszystkich, nikt nie spodziewał się takiego występu. Był on jedyny w swoim rodzaju - grają muzykę core i przede wszystkim mają własne utwory. Podczas ich występu publiczność ruszyła pod scenę w tzw. moshu (Mosh – typ zachowania, bardziej agresywny rodzaj tańca pogo).

Podsumowując całość, można powiedzieć, że było to wydarzenie całkiem udane, poza drobnymi wpadkami, które mogą zdarzyć się każdemu. Podziękowania należą się organizatorom, a w szczególności p. Agnieszce Osuch-Czepiel i p. Agnieszce Kozłowskiej.

Wyniki trochę mnie zaskoczyły. Oto one: przegląd artystyczny: nagroda główna dla kl. 2Eb za program „Dzika faza”, nagroda dla kl. 1la za scenariusz, dla Jacka Paciorka z kl. 1lb za rolę Szamana, dla kl. 1lb za projekt listu gończego, dla Marcina Ślęzaka z kl. 3Id za opowiadanie „Saloon pod łącznością”.

Część muzyczna: I nagroda - dla Gabriela Sarapaty 1 Ed, II nagroda - dla zespołu Envy Kills, III nagroda - dla zespołu Soundmotion. Mam nadzieję, że za rok również uda się zorganizować taki przegląd talentów Zespołu Szkół Łączności. Za zdjęcia serdecznie dziękuję Szymonowi Kurdzielowi oraz fotografowi zespołu Envy Kills.



Rachunek sumienia

Hubcio

CZY TO NADSZEDŁ TEN MOMENT? TAK, CHYBA NADSZEDŁ...

Jest to prawdopodobnie ostatni numer, w którym będziecie mogli przeczytać moje wypocinki (no chyba, że nie wiem o jakiś super tajnych planach w stosunku do mojej osoby i pozostania w tej szkole). Myślałem, o czym napisać na koniec. Może Andrzej? A może Robert The Gangsta zmartwychwstanie? Rozważań filozoficznych ciąg dalszy? Albo kolejne kpiny ze wszystkiego? Nie, chcę podzielić się moimi osobistymi odczuciami na temat współpracy z „Marginesem” (nie powinienem o tym mówić, wiem, zamkną mnie za to). Jak ona wyglądała? Fajnie. Serio. Branie udziału w reaktywacji tej zacnej gazety, dokładanie cegiełek do budowy każdego numeru, spotkania redakcyjne, zarwane nocy, bo zapomniałem o goniących terminach... No i wreszcie ta dzika satysfakcja, że te bezsensowne słowa przelane na ekran komputera ukazują się na papierze, który będzie dotykany przez Wasze łapki. Skąd pomysły na teksty? Nie mam pojęcia. Ubzdurałem sobie jakąś chorą wizję (mowa o opowiadaniach) lub chciałem podzielić się z Wami swoją frustracją (inne worki zółci). A że wydaje mi się, że piszę dość luźno, prosto i może nawet czasem śmiesznie, to przeczytanie jednego z moich tekstów jest niezłą odskocznią, nawet jeśli moją twórczość uważacie za niegodną splunięcia. Zawsze szanuję Waszą opinię. Ale nigdy Wam nie wybaczę tych wszystkich numerów gazety wyrzuconych do śmietnika czy leżących na ziemi w kątach szatni. Nie każdemu inicjatywa szkolnej prasy może przypaść do gustu, ale postarajcie się uszanować naszą pracę, nasz czas poświęcony Wam i nasze zaangażowanie w dostarczeniu rozrywki na nudnych lekcjach. Zła karma wraca, wystarczy, że wyobrazicie sobie, jak Wasze wyglącowane i wypasione CV ląduje w śmietniku zaraz po tym, jak zostawiliście je u szefa w swojej wymarzonej pracy. Taka sama sytuacja. Że potrafisz zrobić to lepiej? Śmiało, przyjdź, napisz coś, a zwrócę honor. Bo nie ma nic gorszego od krytyki czegoś, o czym nie ma się żadnego pojęcia (pozdrawiam serdecznie z tego miejsca autora „blendu” z drzwi redakcji, salut!). Okej, bo zaczynam powoli narzekać. Cała reszta współtworzenia naszej prasy jest oczywiście usłana różami i gwarantuje Wam wieczną glorię oraz chwałę. Każdy tego pragnie? No pewnie, więc serdecznie zapraszam do przyłączenia się w nasze szeregi zwłaszcza, że od przyszłego roku czeka kilka wolnych miejsc. Dobra, znikam, rozejść się!

Dobre serce informatyka

Łukasz Ożóg

PANIE, INFORMATYKU, KRÓLU ZŁOTY, ZA DARMO MI ZRÓB.

Fajnie jest słyszeć w mediach i gdziekolwiek się da, że informatycy są super, że dużo zarabiają i w ogóle to coś nowego wymyślili. 90% populacji nie rozumie wtedy, o co chodzi, do czego to w ogóle jest i dlaczego nad takimi pierdołami myśleć. Najbardziej zafocani dalej myślą, że praca tych ludzi (czy to szeroko pojętych informatyków, elektroników czy innych techników – „informatyk” jest tu dla uproszczenia) ich nie dotyczy. Oczywiście jest, że bardzo się mylą, że nie skasowaliby biletu, nie kupiliby nic w markecie, nie zrobiliby wielu innych codziennych rzeczy bez pomocy tych ludzi. Nieco młodszy, ale także dorośli ludzie często upierają się, że nie, wcale nie, przecież oni to widzą. I dobrze, niech widzą, ale czy doceniają?

W słowie „doceniają” zwracam szczególną uwagę na wyraz „cena”. Pewnie każdy uczeń łączności zna sytuację, gdy jakiś znajomy go poprosił o cokolwiek związanego z komputerami. Chociażby wgranie systemu, sterowników, konfiguracja czegoś. W takiej sytuacji zazwyczaj każdy zgadza się (zwłaszcza, że wie, że to, co ma zrobić, jest proste). O ile jest to rodzina czy bliscy ludzie, grosza bym za to nie wziął. Gorzej, jeśli jest to kumpel, którego nie widziałeś przez parę lat, bo nie bardzo chciało mu się utrzymywać kontakt. Nagle „zajarzył”, że „bo Ty ziomek umiesz grzebać w tych, no, kompach” i „weź mi postaw serwerek pod www”, najlepiej „no dogadamy się jakoś, za piwko”. Trudne to może nie jest. Ale nie oszukujmy się, gościu, praktycznie cię nie znam. Ale wiem, że do mechanika chodzisz. Jak mi się klimatyzacja w aucie zepsuje (przyjąłem klimatyzację, myślę, że to mniej więcej ten sam poziom trudności dla mechanika, co postawienie serwera dla informatyka, czyli żaden), to weź to zrób, też za piwko. „A... a... ale...”. Nie, gościu, nie ma „ale”. Nie jestem wyzyskiwanym dzieckiem z fabryki na Dalekim Wschodzie. Taka sytuacja dotyczy chyba większości, layout dla kogoś, grafika, postawienie strony, konfiguracja komputera, pomoc w wyborze... Ale za to nie słyshałem, żeby gdzieś jakiś mechanik się tak żalił. Bo każdy, od małego wie, że to nie są tanie rzeczy.

Wielu myśli, że to tak prosto, łatwo i przyjemnie. I za darmo. Co jest tego winą? Mnie się wydaje, że po części brak namalności niektórych rzeczy. Wiele osób nie zwraca uwagi (albo raczej nie myśli o nich jako o dziele informatyka) na nakład pracy i efekt końcowy, jaki widzą na ekranach swoich komputerów. Po prostu coś im się podoba albo nie. I na tym się to wszystko kończy. Osoba myśląca innymi kategoriami, tymi bardziej technicznymi, bardziej drąży temat. Tu jest konflikt, bo ci mniej zorientowani w temacie po prostu nie widzą, za co mają płacić. Albo nie wiem, myślą, że informatyk nie kupuje jedzenia w sklepie, tylko żywi się światłem monitora. Nie pomagają, to nie uwierzą.

Chyba taki już jest los. Bo z jednej strony, upomnieć się o kasę, to często znaczy stracić klienta, z drugiej... nie dostać za to nic? Między młotem a kowadłem. Może wzrost świadomości u ludzi przyjdzie szybko. Mam taką nadzieję. Życzę powodzenia i dobrych wypłat za dobrą pracę.



Festiwal Zawodów

sowilo

LEKARZ CZY LOTNIK? KUCHARZ, FRYZJER, MECHANIK? A MOŻE INFORMATYK LUB ARCHITEKT? DLA TYCH NIEZDECYDOWANYCH – MAŁOPOLSKI FESTIWAL ZWODÓW!

Marcowa sobota, jedna z tych słonecznych, ale wietrznych. Przywiało mnie na ulicę Centralną 41A na Targi Edukacyjne, czyli Festiwal Zawodów w Małopolsce. Cała impreza trwała już od czwartku, ale jak wiadomo, są rzeczy ważne i ważniejsze, matematyka miała pierwszeństwo i wcześniej trzeba było chodzić do szkoły.

Kiedy w końcu udało mi się dotrzeć na miejsce, część wystawców już się powoli zbierała. Swoje stoiska miały szkoły średnie (tak, tak, nasza kochana łączność również, z kolegą redaktorem na czele, który tylko stał i dyrygował innymi!) i uczelnie wyższe (niestety były już pozamykane, a szkoda), także te zagraniczne. Dla studentów podobno również miały być przygotowane jakieś stoiska, ale jakoś mnie to nie interesowało, nie mój poziom.

Cel wyprawy był jeden: pozbierać ulotki krakowskich szkół średnich dla młodszej siostry (która, nie wiedząc czemu, nie chce pójść w moje ślady :D). Wszystko podzielone było według branży zawodów, więc gdy kręciłam się między stolikami małopolskich gastronomików, to nie wiedziałam, gdzie podziąć wzrok i z minuty na minutę robiłam się coraz bardziej głodna. Tyle smakołyków w jednym miejscu chyba jeszcze nigdy nie widziałam. Podobnie ze stanowiskami szkół rolniczych – prawdziwa wiosna (nie to, co za oknem)! Piękne kwiaty, owoce... i krowa-manekin do nauki zawodu technik weterynarz. Wszyscy się chwalili swoimi umiejętnościami, talentami, tu układali płytki, tam rzeźbili w drewnie, ktoś robił sesje zdjęciowe, ktoś inny cesał, wykonywał makijaże na ochotnikach... Oj, działo się dużo, nawet na pół godziny przed zamknięciem. Jakbym chciała wszystkie prezentowane zawody opisać, to by mi chyba całego wydania „Marginesu” zabrakło. Podejrzewam, że nawet nasza łącznościowa reprezentacja musiała wielką furgonetką przyjechać, żeby załadować cały sprzęt, który ze sobą przytaczali na pokazy.

W każdym bądź razie misja zaliczona – wyposażylam się w ulotki chyba wszystkich reklamujących się na festiwalu szkół średnich, jeden pan nawet wcisnął mi plakat, żeby go powiesić u nas w szkole (ehe – jeszcze czego, robić mu reklamę). Korzystając z okazji, chciałam również przestać pozdrowienia dla pewnej bardzo spostrzegawczej pani. Ja rozumiem, że przy moich 159 centymetrach wzrostu (+ 9 centymetrów do obcasów) i okrągłej buźce nie wyglądam na 20-letnią kobietę, ale żeby się pytać mojego kolegi, nieogolonego studenta elektrotechniki o bardzo dojrzałych rysach twarzy, czy jest gimnazjalistą i szuka szkoły dla siebie, to chyba lekka przesada?

Andrzej w TV - part 2

Hubcio

ZAPRASZAMY NA CIĄG DALSZY PROGRAMU!



http://www.okaygreat.com

- Witamy ponownie w naszym programie „Rozmowy z boku”! Przed reklamami mieliśmy pewien problem z naszym dzisiejszym gościem, jednak uraczyliśmy już go dawką leczniczych ziółek melisy, więc atmosfera się trochę przeczekała. Drogi Andrzej, przez cały czas twojej świetności uraczyłeś nas wszystkich swoimi niesamowitymi, ale też codziennymi historiami. Czy jest coś, co chciałbyś jeszcze omówić, coś powiedzieć?

- A czy powinienem coś mówić? Ooo, tak właśnie. Opowiem wam o kolejnej rzeczy, która oddziałuje na moje nerwy. Albo może ja po prostu jestem jakiś inny? Mniejsza o to... Zauważyłem, że ludzie mają predyspozycje do robienia z siebie idiotów lub udają kogoś, kim nie są podczas poznawania jakiejś nowej osoby. Ja rozumiem, że trzeba zrobić dobre wrażenie, umieszczając dowcip, komplement, ciekawostkę i wiedzę historyczną w jednym zdaniu wymawianym zaraz po przedstawieniu się. Ale jeżeli ktoś zaczyna nawijać całkiem bez sensu, to traci w moich oczach. Tak, zwracam się teraz do całej szanownej widowni. Jeżeli nie macie nic ciekawego do powiedzenia, to nie odzywajcie się. O wiele bardziej uszanuję wasze milczenie spowodowane małą znajomością mojej osoby, niż mówienie czegoś na siłę.

- Oh, ależ to bardzo mądre i mocne słowa, które swoim potencjałem przeważają ponad standard wszelkich norm unormowanych przez normy norm.

- Przepraszam, ale nie wiem, czy teraz ironizujesz, czy ten ziomeczek, który przekazuje ci cały plan tego programu przez tę małą słuchaweczkę w twoim uchu właśnie ma przerwę.

- Andrzejku, spokojnie, czasem trzeba wprowadzić nutkę humorystycznego podejścia do poważnych spraw, prawda?

-Niby masz rację. Ale wyczuwam, że powoli zaczynasz czuć się niepewnie. Pierwszy raz w historii tego programu cała uwaga jest skierowana na mnie. Ciebie nikt nie chce słuchać, cały naród w tym momencie patrzy na mnie, a ty na siłę próbujesz choć jeszcze chwilkę zaświecić swoim blaskiem i wybić się ponad moją sławę. Myślisz, że ci się to uda? Niestety. Z nas dwóch to ja jestem tym prawdziwym. Różnimy się tym, że ja jestem normalny. Mam swoje zdanie, ale nie mówię niepotrzebnie w przeciwieństwie do ciebie. Robię to co chcę i myślę to co chcę. A ty? Marionetka telewizji? Że niby teraz stałem się chamski? Trudno...

- Andrzej... Jesteś wielki...

- Wiem...



Cudowna moc mnemotechnik

serfer

CZYLI O TYM, JAK TO DZIECINNIE PROSTE MOŻE BYĆ ZAPAMIĘTYWANIE.

Pewnie nie raz zdarzyło się komuś z Was uczyć na sprawdzian, często w ten sam dzień w którym on miał się odbyć, lecz mimo tego całego wysiłku kiedy już przyszło go pisać, nagle w głowie pojawiała się wielka czarna dziura... Kurde, przecież się tego uczyłem, mówisz sobie w myślach, jednocześnie skrupulatnie przeszukując zakamarki swoich neuronów. Wiesz, że dzwonią, tylko nie wiesz w którym kościele, jak mówi przysłowie. Ostatecznie udaje się tam coś napisać, lecz nie jest się z siebie zadowolonym i wszystko zwała się na swoją złą pamięć. BŁĄD! To jest pierwsza rzecz, dzięki której sami podkładamy sobie nogę. Nie ma czegoś takiego jak zła pamięć. Każdy ma taką samą z praktycznie nieograniczonym miejscem! Podstawowy błąd, jaki popełniamy w takiej sytuacji, to brak wiary w siebie, a raczej wiara w to, że nasza pamięć jest słaba. Bo jeżeli „mówisz” swojemu umysłowi coś, to on nie wyjdzie, nie stanie przed tobą i nie będzie się z tobą kłócił, tylko przyjmie to do wiadomości i prawdopodobnie to wykona. Swoją drogą to byłby fajny patent dla niektórych, bardzo przydatny. Najlepiej jakby jeszcze potrafił w niektórych momentach dać po pysku, to byłoby wprost idealne... Wracając do tematu, wszystko zaczyna się w naszej głowie. To myśl jest zapalnikiem do silnika naszej podświadomości. Dobra, nie będę Was przynudzał teoretycznymi wywodami, bo pewnie czytając ten tekst, jesteście podekscytowani tym, że zaraz dowiedziecie się, w jaki to magiczny sposób będziecie mogli sprawić, że Wasza pamięć stanie się dużo bardziej skuteczna niż do tej pory. No chyba, że już wcześniej wiedzieliście o mnemotechnikach. „Cóż, w takim wypadku możesz swobodnie darować sobie ten tekst albo mimo wszystko przyłączyć się do innych, chociaż nikt nie lubi takich przemądrzałych dupków.” Parafrazując mentalistę Derrena Browna.

Pierwszą techniką, o jakiej tu napiszę, będzie „łańcuchowa metoda skojarzeń”, którą wymyślił Harry Lorayne. Mimo całej swojej błyskotliwości, na razie nie jestem takim geniuszem, żeby wymyślać takie rzeczy, ale mimo wszystko dodam coś od siebie i to, w jaki sposób ja to wykorzystuję. Na początek zanim zaczniemy zgłębiać tajniki tego kreatywnego narzędzia, spróbujemy zapamiętać w ciągu trzydziestu sekund dwadzieścia przypadkowych słów, które zaraz podam. To jest konieczne, aby zobaczyć, jaki osiąga się rezultat przy niewielkim wysiłku. Jeżeli już znamy te techniki, potraktujmy to jako test umiejętności, zobaczymy, czy naprawdę jesteśmy tacy dobrzy, jak myślimy

- | | | | |
|-------------|----------------|--------------|--------------|
| 1. koń | 6. łóżko | 11. ptak | 16. talerz |
| 2. telefon | 7. butelka | 12. banan | 17. liść |
| 3. kielbasa | 8. szafa | 13. długopis | 18. dom |
| 4. papier | 9. gitara | 14. kubek | 19. krokodyl |
| 5. ryba | 10. klawiatura | 15. komputer | 20. sól |

Dobrze, można wziąć teraz w swoje ręce kartkę i długopis i zanotować wszystko, co zapamiętaliśmy. Nie trzeba się martwić jeżeli nie poszło za dobrze, to nawet lepiej, bo będziemy mieć większą satysfakcję z tego, że zapamiętaliśmy wszystko, zachowując nawet oryginalną kolejność.

W takim razie do rzeczy. O co chodzi w tym całym łańcuchu skojarzeń? Cała idea tego narzędzia opiera się na tym, aby skojarzyć pierwszą rzecz z drugą, drugą z trzecią i tak dalej, tworząc kolejne ogniwa naszego metaforycznego „łańcucha”. Dobra, ale jak? Najlepiej, aby skojarzenie to było jak najbardziej pokręcone. Im jest bardziej absurdalne i sprzeczne z rzeczywistością, tym

lepiej. Powinno wzbudzać emocje, pozytywne lub negatywne. Może to być np. rozbawienie, odraza, obrzydzenie, itd. Ważne, żeby używać skrajnych emocji i najlepiej wyolbrzymiać pewne rzeczy. Np. coś co jest małe, możemy powiększyć do nadnaturalnych wielkości. Dużo łatwiej zapamiętamy krwiożerczą mrówkę giganta niż malusieńką mróweczkę. Ważne jest również to, żeby skupić się również na innych zmysłach, nie tylko na wrażeniach wizualnych. Kiedy chcemy zapamiętać cytrynę, najpierw możemy ją rozkroić na drewnianej desce, która wyda z siebie głuchy stukot, kiedy energicznym ruchem zadamy jej śmiertelny cios świeżo wypolerowaną katana, wachamy ją, wyobrażamy sobie jej fakturę i ściekające kropelki soku po ręce, jaka jest w dotyku, twarda czy miękka, to jak ona smakuje, liżemy ją.... Obraz powinien być również dynamiczny, tak jak w załączonym opisie. Myślę, że tyle teorii nam wystarczy, teraz przejdźmy do praktyki. Pokażę, jak ja bym zapamiętał tę listę.

Jeszcze taka mała uwaga zanim zacznę. Jeżeli chcemy zapamiętać jakąś listę, warto skojarzyć ją z kluczem, wywoływaczem. W tym wypadku wywoływaczem może być nasza gazeta „Margines”. A więc do dzieła.

0 - 1. Wyobrażam sobie konia siedzącego na dużym zielonym fotelu, jego nogi układają się w „amerykańską czwórkę”. Dostojnie siedzi niczym dżentelmen, na głowie ma melonik na oku monokl, w ustach trzyma fajeczkę. W kopytach trzyma nowiutki i pachnący numer „Marginesu”. Tylko, że coś jest nie tak, konik ma ogromne problemy z przewróceniem strony, ciekawe czemu...

1 - 2. Jadę na tym koniu, nagle słyszę muzykę, marsz imperialny wydobywa się z uszu gniadosza. Ni stąd ni zowąd z końskiego zadu wysuwa się do góry antena. Otwieram klapkę, która sprytnie zamaskowana była tuż za szyją konia. Wyciągam jaskrawozielony telefon starego typu z długim zakręconym kablem. Naprawdę ciężko się rozmawia, jednocześnie galopując...

2 - 3. Podczas rozmowy telefonicznej nagle uświadomiłem sobie, że zamiast telefonu mam kielbasę przy uchu. Pomyślałem sobie, kurde fajnie, akurat głodny byłem, naprawdę ten telefon wygląda na wyjątkowo smaczny model...

3 - 4. Wyobrażam sobie jak grilluję kielbaski na papierowym grillu. Kiedy podpaliłem rozpałkę, zajął się cały, kurna coś jest nie tak, trzeba zareklamować...

4 - 5. Hmm... ciekawe czy na rybie by się dobrze pisało, wyobrażacie sobie pisać kartkówkę z matematyki na świeżym pstrągu?

5 - 6. Oczyma mojej wyobraźni widzę dużych rozmiarów rybę, która wtula się w dużą puchową poduchę, jest przykryta grubą kołdrą.

Resztę zostawiam Wam. Możecie dokończyć sami lub wymyślić od nowa swoje skojarzenia. Nie trzeba się śpieszyć, bardziej postarać się dopieścić każde wyobrażenie. Zanim to zrobimy, przedstawie jeszcze inną wersję tego sposobu, której sam najczęściej używam. Jeżeli potrzeba szybko zapamiętać jakieś rzeczy, wystarczy tworzyć uboższe skojarzenia, np. koń jedzący „Margines”, konio-telefon, telefon-kielbaska, kielbaska zrobiona z papieru, papier z pływającymi dwuwymiarowymi rybkami, itd. Ogólnie uważam ten sposób za skuteczniejszy, prostszy i szybszy. Wadą tego sposobu jest to, że na dłużą metę skojarzenia są za słabe. Idea tego sposobu jest taka, że pierwszy ściśle się integruje z drugim, np. pierwszy jest zrobiony z tego drugiego (papierowa kielbaska), drugi ma na sobie trzeci (papier z pływającymi rybkami). Eksperymentujcie. Kiedy już powiąże się ze sobą skojarzenia, trzeba wziąć kartkę w dłoń i wykonać test ponownie. Powodzenia!

Podróż i pierwsze zetknięcie z indyjskimi realiami

Tomasz Nowiński

INDIE. W SKRÓCIE: DWA TYSIĄCE LAT HISTORII, PIĘKNO I OGÓLNI PANUJĄCA BIEDA.

Po przygotowaniu się do wyprawy nadszedł czas wyczekiwanego od dawna wyjazdu.

Nasza podróż rozpoczęła się 13 stycznia o godzinie 00:20. Wyruszyliśmy w trasę do Warszawy, bowiem tam było spotkanie naszej grupy. Droga była cała zasypana śniegiem, śliska, a do tego widoczność dość mocno ograniczona przez śnieżycę. Średnia prędkość nie przekraczała 40 kilometrów na godzinę i zaczęliśmy się martwić, czy zdążymy na czas. Na szczęście w połowie trasy pogoda się poprawiła, zwiększyła się widoczność, a droga była czarna. O 4:15 byliśmy w Raszynie pod Warszawą, gdzie zostawiliśmy samochód na parkingu. Przed piątą dotarliśmy na lotnisko, więc mieliśmy sporo czasu – wylot o godzinie 7:40. Stwierdziliśmy, że jesteśmy głodni i zjedliśmy kanapki. Około 5.30 zebrała się nasza grupa, więc poszliśmy zdać bagaż oraz na odprawę. W końcu nastał czas wylotu do Frankfurtu. Następnie godzina oczekiwania i lot do Doha w Katarze. Z Kataru do Delhi, które jest inaczej nazywane „Bramą do Indii”. Podczas lądowania mgła taka, że gdy pilot posadził samolot, to nie widzieliśmy powierzchni pasa z okna. Ciekawe czy ich też dotyczą przepisy co do warunków lądowania? Po 29 godzinach podróży jesteśmy w Indiach! Jeszcze tylko 2 godziny jazdy busem i zakwaterowanie w hotelu. Zapowiadała się niezwykle krótka noc. Pobudka o ósmej, czyli za niecałe trzy godziny. Szybki prysznic w zimnej wodzie i do łóżka. Zasypiam od razu po zamknięciu oczu.

Ósma rano. Niewyspany wy-



chodzę z łóżka. Trzeba się wymyć, ubrać i zejść na śniadanie. To wszystko w 30 minut. O dziwo udało mi się zrealizować ten śmiały plan mimo ogromnego zmęczenia. Bałem się, co dostaniemy do jedzenia, ale na szczęście był bufet. Potem wyruszamy w miasto! Dziwne wrażenie tworzył ruch lewostronny. Samochody, tuk-tuk-i, riksze rowerowe i ludzie WSZĘDZIE! Dla niewtajemniczonych tuk-tuk rodzaj rikszy motorowej. Nazwa pochodzi od charakterystycznego dźwięku silnika. Riksza to taki rower na 3 kołach służący do przewozu ludzi. Turystów od 2 do 4 osób, miejscowych ile się zmieści. W tym kraju nie obowiązują żadne przepisy ruchu drogowego. No, może oprócz jednego: silniejszy ma pierwszeństwo. Więc po pewnym czasie przestał dziwić widok ciężarówki jadącej pod prąd. Dominującą marką pojazdów była TATA. Do firmy tej również należy wyprodukowanie nowego najtańszego samochodu świata – TATA Nano.

Zwiedzanie zaczęliśmy od największego w Indiach meczetu Dżama Maszdid. Jest ogromny. Został wybudowany w latach 1654-1658. Spokoj-





nie, nie planuję implantować dużo historii do mojego artykułu. Następnie przejażdżka riksami i znowu do autobusu. Później skosztowaliśmy soku ze świeżego i zielonego kokosa. Smak dość intrygujący. Po wypiciu można zjeść zawartość wnętrza. Smak znacznie inny niż tych dostępnych w naszym kraju. W międzyczasie przyszło do nas ze dwa tuziny miejscowych próbujących nam wcisnąć najróżniejsze towary. Najlepiej w ogóle im nie odpowiadać, wtedy sobie pójdą do innych „białasów”. Potem przejeżdżamy autobusem przez jedną z alei ambasad. Ponoć najładniejsza jest ambasada Polski.

Jedziemy dalej i podziwiamy miasto z naszego drugiego domu na najbliższe 2 tygodnie. W oczy kole ogólnie panująca, ogromna bieda. W tym kraju jest niezwykle duża różnica pomiędzy ludźmi bardzo biednymi a bardzo bogatymi. Większość domów to już ruiny. Na dodatek dziewięćdziesiąt procent tych budynków jest wybudowanych nielegalnie. Gdy państwo poszerza drogę, zwyczajnie je wyburza. Ogromne ilości jedzenia przyrządzonego na ulicach. Wszędzie wielkie gary z gotującą się ciecżą, mięso i inne produkty wiszące w czymś na kształt witryn sklepowych. Trochę się wystraszyliśmy, gdy dowiedzieliśmy się o planowanym w najbliższym czasie posiłku. Nagle wszystkim odechciało się jeść. Widząc nasze miny, pilotka Edyta z uśmiechem powiedziała, że turyści tu nie jadają, chyba że chcą resztę wyjazdu spędzić w toalecie i że jedziemy do restauracji dla obcokrajowców. Oczywiście w takich miejscach jest pełno handlarzy i żebraków. Był nawet

przemity pan grający na fujarce i miał on tańczącą

Kobry Królewską. Edyta powiedziała, że te węże nie słyszą nic, ponieważ zwyczajnie nie mają uszu. Wychodzą z kosza, bo to jest normalna reakcja, gdy siedzą w ciasnocie i fakir otworzy im pokrywkę. Oprócz tego życie takiej kobry w niewoli trwa do 3 miesięcy. Jest ona łapana przez wieśniaków, którzy wyrwają jej zęby jadowe lub zaszywają wargi. Dzięki temu nie jest ona niebezpieczna. Ale nie może się też pożywić i ginie z głodu.

W restauracji na próżno szukać kelnera. W tym kraju kobieta pracuje w domu lub w polu. Turystów mogą obsługiwać tylko mężczyźni. Na wstępie Edyta poinformowała, że najlepiej zamówić bufet albo co najwyżej 2 rodzaje potraw, ponieważ na inne możemy się nie doczekać. Wybór padł na bufet. Ciekawostką jest to, że po posiłku przynoszą na stół tak zwane mouthfreshener-y czyli odświeżacze po posiłku. Najczęściej w formie sześcianów cukru i anżyu.

Po zjedzeniu pojechaliśmy do Czerwonego Fortu. Budowle pochodzące z VI w. naszej ery. Była tam między innymi najwyższa wieża pochodząca z tej epoki wybudowana z czerwonego piaskowca i białego marmuru. Te surowce są najbardziej popularne w tego typu budowlach. Jak przystało na miejsce odwiedzane przez turystów, było regularnie nawadniane. Niestety szczelność połączeń węży pozostawia wiele do życzenia. Indie są krajem, który ma niedostatek wody (dla porównania 50% ludzi nie ma tam telefonu komórkowego, a około 65 % dostępu do bieżącej wody). Mimo tak wielkich problemów ponad jedna trzecia jest marnotrawiona przez nieszczelne połączenia.

Wróciliśmy do hotelu i po zjedzeniu kolacji poszliśmy spać. Dzień był pełen wrażeń, w końcu to pierwszy dzień w Indiach.

(cdn.)

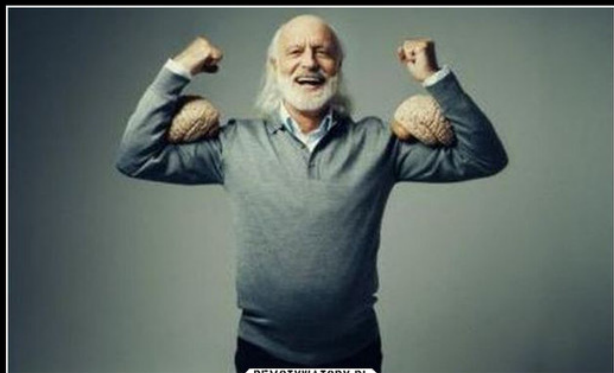


Sława, fejm i nie tylko

Bogi

CZYLI WSZYSTKO O NASZYCH LAUREATACH

Zastanawiałeś się kiedyś jak to jest być dobrym uczniem, mieć dobre oceny, wygrywać olimpiady i konkursy? Tak się składa, że ja niestety nie mam takiego doświadczenia... Na szczęście w naszym kochanym ZSŁ są jeszcze osoby, które mogą się poszczycić niemałym wkładem w poszerzanie szkolnej listy olimpijczyków. Jak zapewne większość z Was wie, pod koniec marca br. odbyły się zawody II i III stopnia XXXVI edycji OOUEIE. Oczywiście nie mogło tam zabraknąć naszej elity uczniowskiej. Szczególną wiedzę wykazali się: Marcin Śladowski z klasy 3Ea, Piotr Nawara z klasy 4Eb, Marcin Sobas z kl. 4Ea, Michał Gędek z 4Ti oraz Dominik Górni z 2Ea. Wszyscy z nich otrzymali tytuł laureata. Oczywiście serdecznie Wam gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów. Teraz, gdy już wiemy, że są jednak tacy ludzie, którzy zamiast przeleżeć pół dnia przed telewizorem, oglądając kolejne odcinki „M jak Miłość”, wolą pokazać, na co ich tak naprawdę stać. Dojście do tytułu laureata nie jest takie proste: trzeba posiadać ogromną wiedzę oraz dość rzadko spotykaną umiejętność stosowania tej wiedzy w praktyce. Jednak teraz, wróćmy do rzeczywistości i umiejętności „normalnych” uczniów... Gdy z ciekawości zapytałem kilku moich znajomych, czy sądzą, że daliby radę zostać laureatem konkursu na skalę całej Polski, w większości spotkałem się (o dziwo) z pozytywnymi odpowiedziami. „Myślę, że jakbym zaczęła się uczyć rok przed olimpiadą, to spokojnie bym się przygotowała, ale musiałabym naprawdę solidnie i konsekwentnie się uczyć... Na przykład rozłożyć sobie materiał na tygodnie i później robić tylko powtórki utrwalające, elo”- Laura. Zdarzały się także inne odpowiedzi: „Nie zostałam laureatem, nawet nie osiągnęłbym jakiegoś przyzwoitego wyniku, bo po pierwsze: mam pecha, a po drugie: mam pecha, słabą pamięć i w ogóle [...] i nie sądzę, żebym posiadał na tyle wybitne umiejętności” – Konrad. Obecnie największym problemem (przynajmniej dla mnie) jest mobilizacja do działania. Czasami staram sobie postanowić, że będę pilniejszy w nauce, itd. Większość (jak nie wszystkie) z moich założeń kończy się fiaskiem i później tylko byle do świąt. Dlatego właśnie tak bardzo podziwiam osoby, które mimo tak wielkiej konkurencji – nie straciły zapału, poświęciły swój czas i osiągnęły to, co im się należy.



DEMOTYWATORY.PL

Mądrość
jest największą twoją siłą

Cytrynowo mi!

sowilo

JEDNI ZBIERAJĄ ZNACZKI, MONETY, INNI ZNAJOMYCH NA FEJSBUKU.
JEŹDŻĄ NA ROWERZE, CHODZĄ DO KINA. A JA HODUJĘ ROŚLINKI.



Choć marcową pogodą (moment, w którym powstaje ten artykuł to właśnie marzec) za oknem nie nastraja nikogo pozytywnie, u mnie na parapecie już od kilku tygodni trwa prawdziwa wiosna. Był artykuł o pszczołach, teraz będzie o roślinkach. Mam nadzieję, że w ten sposób przybliżę Wam, jaka frajda płynie z własnych wyhodowanych egzotyków. I nie, nie mam na myśli konopi. ;)

Przygoda zaczęła się kilka lat temu, gdy w jednym z hipermarketów z półki z roślinkami ktoś zawołał do mnie: „Mamo, weź mnie do domu i ukochaj”. Gdy się odwróciłam, okazało się, że to osamotniona mała smutna cytrynka skierniewicka z podwiniętymi listkami. I tak zaczęła się miłość od pierwszego wejrzenia – nie mogłam jej przecież odmówić. Cytrynka zamieszkała u mnie w pokoju na parapecie i do dzisiaj ma się świetnie.

Wszelkiej maści cytrusy (w mojej kolekcji aktualnie są cytryny, pomarańcza, mandarynka, grejpfrut, kalamondyna, limequat, a oprócz tego jeszcze inne egzotyki, takie jak kawa, awo-kado, banan, kiwi, figa) co roku budzą się na początku marca i obsypują maleńkimi zielonymi listkami. Bliżej kwietnia na dorosłych drzewkach pojawiają się pierwsze pączki, a w całym pomieszczeniu unosi się nieziemski aromat. Nie znam chyba innych roślin, które tak intensywnie pachną. Jeśli mamy szczęście i po otwarciu białych płatków ukazuje się słupek, to zapewne mały owocek się już zawiązał. Na pączki u roślin nieszczipionych, a wyhodowanych z pesteczki ze sklepowego owocu przy dobrych warunkach trzeba czekać nawet 20 lat!

Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc nasz owocek robi się coraz większy. Nic tak nie cieszy oczu cytrusomaniaka jak widok małej zielonej cytrynki na krzaczku. Okres dojrzewania od momentu zapylenia do całkowitego wybarwienia się na żółto lub pomarańczowo może trwać nawet rok. Cytrynka ze zdjęcia poniżej zawiązała się w marcu 2012, owoc spadł z krzaczka w lutym 2013.

Od kwietnia na roślinkach na przemian pojawiają się liście i kwiaty, aż do późnej jesieni. Potem przychodzi czas na odpoczynek i zimowanie w chłodnym, ale jasnym pomieszczeniu. Krzaczki muszą się zregenerować i odpocząć – w końcu cały sezon spędziły na „puszczaniu się” i wykarmianiu owoczków.

A potem największe szczęście: gorąca herbata z własną wyhodowaną cytrynką w mroźny zimowy wieczór. Te sklepowe nie-wiadomo-co wymiękają, prywatna ma zupełnie inny smak i zapach. Jest bardzo soczysta i ma zaledwie milimetrową skórkę. Ten cały rok dmuchania, chuchania, dogadzania roślince naprawdę jest wart tych dwóch dzbanków herbaty. ;)

Gramy!

Hubcio

TYM RAZEM WYRUSZYMY W PODRÓŻ SENTYMENTALNĄ...

http://www.mobgames.com



... Do świata Delta Force 2. Gra została wydana pod koniec 1999 roku. Że mam się puknąć i zastanowić nad życiem? To była pierwsza produkcja, którą odpaliłem na swoim, również pierwszym komputerze. Pamiętam to jak wczoraj... Tfu, nie otwierajmy się za bardzo. Ale o co tutaj chodzi? Jesteśmy członkiem elitarnego oddziału komandosów i wykonujemy różne misje teoretycznie na powierzchni całego globu. Przykładowo, musimy zatrzymać i zabezpieczyć opancerzony pociąg, wysadzić wyrzutnię rakiet SCUD, ukraść jakieś dokumenty. Niby standard dzisiejszych gier, jednak pamiętajmy, że mówimy o latach 90 ubiegłego wieku... Za czasów młodości potrafiłem czasem cały boży dzień siedzieć przed komputerem i młócić aż do padnięcia na klawiaturę. To dzieło miało w sobie coś, co zmusza mnie co jakiś czas do ponownego wejścia w buty dzielnego wojaka i walczenia o... W sumie nie wiem, o czym to tak naprawdę jest, czy jakaś fabuła istnieje. Ale co z tego. Liczy się rozgrywka! Jak na tamte czasy realizm był bardzo wysoki. Zabijamy jednym strzałem, ginimy od jednego strzału. Wystrzelony pocisk po pewnym czasie zaczyna opadać. Nie nosimy przy sobie całego magazynu broni, zaledwie pistolet, karabin i parę granatów. Większość budynków ulega zniszczeniu. Wybuch czegokolwiek zawsze rozsiewa jakieś raniące nas odłamki. Jednym słowem: odlot (pamiętajmy, że mówimy o starej generacji gier). Również samo przygotowanie do misji było oryginalnie zrealizowane. Wyświetla się nam mapa z celami, lektor czyta opis misji i wyjaśnia jej wytyczne, potem dobieramy ekwipunek (więcej amunicji, rodzaj broni, kamizelka kuloodporna, strój maskujący, itd.). Warto również wspomnieć o tym, że w trakcie gry nie możemy sejnąć. Zginemy, zaczynamy wszystko do nowa. Ot, raj dla masochistów i maniaków. Graficznie gra się prezentuje... Hmm, jeśli dla Ciebie grafika musi być w grach świetna, to bez kija nie podchodź. 14 lat temu może i robiła wrażenie, a dzisiaj jest to po prostu nazywana pikseloza. Grać się da, ale niejednokrotnie okaleczyłem się o piksele. Jeżeli chodzi o dźwięk, to do dzisiaj nie jest najgorzej. Komunikaty radiowe, strzały, krzyki - wszystko to buduje klimat, który na swój sposób wciąga. A motyw muzyczny z menu do dzisiaj chodzi mi po głowie. Więc jeśli lubisz klasyki lub wspominać stare czasy - polecam.

Recenzja muzyczna

kastel

JAK SŁUCHAM JEGO TEKSTÓW, TO JEDYNIĘ SŁYSZĘ KRZYKI FANEK NA KONCERTACH. O KIM MOWA?



Pezet – Radio Pezet

Wykonawca będący już długo na rodzimej scenie muzycznej wydał dosyć głośny album pod tytułem „Radio Pezet”, który w całości został wyprodukowany przez perkusistę zespołu T. Love – Sidneya Polaka. O tym CD jest głośno aż do dziś i nie zapowiada się na rychłe zmiany, mimo, że premiera była we wrześniu zeszłego roku. W pierwszej chwili wszyscy odczuli szok - płyta hiphopowa na dubstepowych podkładach? To, co na zachodzie w USA i Wielkiej Brytanii jest dziś standardem - polaczków szokuje i burzy. Więc oczywiście wykonawca w pierwszych dniach zebrał sporą falę hejtu i negatywnych opinii. Kiedy ktoś tylko próbował go bronić, że płyta jest ok i że dobrze, że Pezet próbuje coś zmienić i wciąż eksperymentuje to tłum go pożerał i mocno krytykował. Kiedy w końcu wydawało się, że wszystko się uspokoiło, Sidney w audycji radiowej odśpiewania kulisy powstawania płyty, oskarżając rapera o niesłowność i oczywiście o problemy z rozliczaniem się. W audycji oczywiście została poruszona kwestia płyty „Live in 1500m2” (recenzja w marcowym wydaniu Marginesu), którą raper wydał, bo musiał pomóc bratu (Małolat), który miał jakieś problemy - najprawdopodobniej finansowe. Potem znów tłum zaczął cisnąć po Peziecie po premierze naprawdę dobrego klipu produkcji R5 Films, „Na pewno” gdzie Reebok miał swój product placement. Ale tak to już jest, nie mieli się do czego przyklepić to przyklepili się do butów - i „Pezet sprzedałeś się” było najczęściej powtarzanym zdaniem. Mimo tego, udało się krążkowi zdobyć status złotej płyty. Moje odczucia od początku, od pierwszego dnia były takie same: dobrze, że raper spróbował czegoś nowego. Wiadomo, niektórzy lubią dubstepy ciężkie jak brzmienia młota uderowego, a inni preferują spokojniejsze chillout'owe klimaty. Wiadomo, zawsze można było zrobić krążek inaczej - lepiej lub gorzej. Fani (a raczej fanki) wykonawcy nie będą zawiedzeni, jedyne, co Pezet na krążku zmienił to podkład. Tematyka wciąż jest tak samo monotematyczna - hedonistyczno-dekadenskie teksty: znów wypilem dużo alkoholu, zapaliłem fajkę i szukam tej jedynej i nie znajduje w życiu uciechy. Najgorsze jest, że to wszystko tak okrutnie prawdziwe i tak się wkręca.

http://blog.crop.com